№ 29. 17. Lipca 1893.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Ksiądz Stolarczyk.

(Wspomnienie pośmiertne).

Kapłan, którego zwłoki spoczęły w piątek na skromnym cmentarzu zakopiańskim, należał do najpopularniejszych postaci nietylko u licznych, a dziś już międzynarodowych, turystów tatrzańskich, ale i u tych nawet, co Zakopane poznali tylko z rysunków i opisów. Począwszy bowiem od pierwszych książek o Tatrach, od Goszczyńskiego i Pola, a skończywszy na wspaniałej pracy Stanisława Witkiewicza, „Na przełęczy“ drukowanej przed paru laty w „Tygodniku Ilustrowanym“, a następnie wydanej osobno u Gebethnera i Wolffa, nazwisko proboszcza zakopiańskiego, ks. kanonika Józefa Stolarczyka spotyka się na każdej karcie. Nie mógł go pominąć żaden autor, ropisywali się o nim nawet cudzoziemcy, a Witkiewicz utrwalił pamięć „pierwszego taternika“ nietylko w pysznych rysunkach, lecz i z opisów jego i opowiadań postać ta wychodzi dziwnie wyraziście, żywo, z tą trafnością charakterystyki, z tą siłą prawdy, która szczególniej tego zarazem niepospolitego pisarza, jak i malarza cechuje.

Więc skoro tak jest, skoro dość zajrzeć do pierwszej lepszej o Tatrach książki, do artykułów, setkami w pismach naszych drukowanych, aby przypomnieć sobie, czem był ks. Stolarczyk dla ludu zakopiańskiego, jakim go zastał i co zeń zrobił, przeto lepiej może będzie zająć się tem, co nazwałbym literacką spuścizną zmarłego, zaznaczyć, że był to nietylko wielkich zasług kapłan, nietylko dobrodziej i współtwórca dzisiejszego Zakopanego, ale i — pierwszorzędny kaznodzieja.

Tak — pierwszorzędny kaznodzieja! Narazie, nawet tym, co mieli sposobność słyszeć tego olbrzymiego wzrostu górala, gdy przygniatając niemal swym ciężarem ubożuchną, z desek skleconą ambonę, prostym, krzykliwym głosem, tak sprzecznym z zasadami retoryki, dosadnie, a nawet rubasznie owieczkom swym prawdę wiary św. co niedziela wykładał — twierdzenie to wydać się może przesadnem. Lecz — proszę o chwilę cierpliwości, bo jeśli poetę sądzić może tylko ten, co kraj jego poznał, tak samo wielkość talentu kaznodziei, rodzaj wymowy, zależnym jest od słuchaczy, do których przemawia.

A jakimiż byli ci słuchacze, gdy przed pięćdziesięciu kilku laty młody wychowaniec tarnowskiego seminarjum, z pochodzenia taki sam z pobliskiego Jordanowa góral tatrzański, po raz pierwszy wstępował na kazalnicę świeżo skleconego kościółka w Zakopanem? Historji tej osady powtarzać nie będę. Starczy przypomnieć to, co sam ks. Stolarczyk nieraz opowiadał, że w pierwszych miesiącach jego pasterzowania zdarzało się nieraz, iż zakopiańscy „zbójniki“ bez ceremonji zapalali sobie fajki od lampy kościelnej, że nie posiadając wieki całe kościoła, w swym, naprawdę wówczas „zakopanym“ kącie, patrzeli i na służbę Bożą i na cały ten nowy porządek rzeczy, jak nawpół dzicy poganie. Nie było to więc „duszpasterstwo“, jak się ówczesny styl biurokratyczno-józefiński wyrażał, lecz prawdziwe — misjonarstwo. A ks. Stolarczyk nadawał się wybornie do takiego właśnie zadania.

W książkach uczonym nie był, świata dużo nie widział; przed dwudziestu paru laty odbył pielgrzymkę do Ziemi świętej i ta mu starczyła za cały podkład naukowo-literacki, ale miał tę praktyczną znajomość życia i psychologji góralskiej, miał tę siłą słowa i czynu, która, połączona z głęboką wiarą i miłością ludu, stanowiła właśnie tę tajemnicę niezwykłych działalności jego pasterskiej skutków. Sam góral, syn ubogich zagrodników, w podobnych jak jego parafianie wzrosły warunkach, jak oni żył, ich językiem mówił, po za Tatrami nic piękniejszego na świecie nie uznawał, „na dolinach“ za żadne skarby żyćby nie chciał, miał nietylko obyczaje i gusta góralskie, ale i góralską dumę. Wszakże opowiadają o nim anegdotę, która zapewne jest znacznie przesadzoną, że gdy jeszcze kwitło w Zakopanem opryszkostwo, a krwawe z Liptawiakami bójki były chlebem codziennym, ksiądz Stolarczyk gromił srodze swych upartych baców i juchasów za przelew krwi, groził im karami piekielnymi, wystawił całą ohydę pozostałości „zbójnickich“ — ale, ostatecznie, nie bez wewnętrznej dumy, pociehu przyznawał: „taki nasze chłopcy liptawiaków zmogły.“

Podobnych rysów, nawskróś góralskiej natury zmarłego, nazbierać można setki. Jest ich mnóstwo u Witkiewicza, a i Sienkiewicz, który od lat tylu na ks. Stolorczyka patrzał, ma cały nieużytkowany dotychczas zapas spostrzeżeń i faktów.

Rzecz więc prosta, że taki kaznodzieja do ta-

kich owieczek nie mógł przemawiać wykwintną, prawdziwie w swej prostocie ludową poezją ks. Antoniewicza, że jego homiletyka miała swój specjalny rodzaj, teologja pastoralna fundowała się na doświadczeniach życiowych, branych z codziennego życia najbliższego otoczenia.

To też ks. Stolarczyk nie unikał dosadnych, a często nawet ryzykownych porównań. U niego człowiek staczał się ku grzechom, „jak wóz puszczony na dół z Giewontu"; u niego Pan Bóg „nie dawał sobie w kaszę napluć"; u niego zakon Boży, „to nie pomiotło, co stoi w kącie". Podobne zwroty zdarzały się co chwila, a choć one z początku raziły, to jednak, wsłuchawszy się w te kazania znajdowało się w nich nietylko wiarę najwyższą i pokarm najzdrowszy, ale wielką siłą i prawdziwą poezję.

Nie zapomnę np. nigdy jednego z kazań ks. Stolarczyka o sądzie ostatecznym. Mówca przedstawił słuchaczom, jak Anioł Gabrjel zadął w trąbę, a na jej głos powstają zmarli z grobów, by stanąć przed trybunałem Najwyższego. I oto otwierają się mogiły zakopiańskiego cmentarza i oto powstaje procesja nieboszczyków Krzeptowskich, Sieczków, Gąsieniców i Walów, którzy z krzyżem i pieśnią ciągną w przestworza niebieskie. A po drodze spotyka ich druga procesja z Chochołowa, z Poronina, z Szaflar i Czarnego Dunajca. Ojcowie witają dzieci, bracia siostry, żony mężów, przyjaciele przyjaciół, każdy trwożny, jaki go wyrok czeka, na której stronie postawi go Anioł Pański. I te procesje spotykają inne, pochód rośnie, olbrzymieje, aż nareszcie słychać pienia serafińskich chórów i widać jasność wielką...

Było coś dantejskiego w tym opisie ostatniej wędrówki, choć ręczę, że ks. Stolarczyk nigdy w życiu Danta nie czytał, była jakaś nadzwyczajna siła obrazowania, jakaś potęga prostego słowa, co acz z wszelkiego kunsztu wyzuta, ciągnęła, przykuwała uwagę a grozą tamowała oddech. I cóż dziwnego, że tłum słuchaczy, jak łan zboża przed wiatrem, chylił głowy pod naciskiem słów kaznodziei, cóż dziwnego, że kruszyły się serca i nie prostacze tylko?...

Albo drugi, innego znów rodzaju przykład. Zmarł jakiś wybitniejszy gospodarz i ks. Stolarczyk miał przemówić nad jego grobem. Poszedłem umyślnie na pogrzeb, by przysłuchać się oracji żałobnej. Czegoś podobnego nie słyszałem nigdy. Mówca ledwie paru słowy wspomniał na wstępie o nieboszczyku, a potem jął opowiadać, jak wczoraj wieczór, siedząc na ganku przy herbacie, słyszał dolatujące krzyki z karczmy, jak dochodziły go głosy hulaków i pijanych, jak zapisał sobie w czarnej książce ich nazwiska. „Przyjdzie później jeden, drugi, zacznie się prosić, skomleć: A jegomościuniu wymaż-że, ja się poprawię, ja nie będę pił, to już ostatni raz" — i ja wymażę, bo mi was żal, boście moi. Ale na co się zda, kiedy tam w górze św. Piotr pisze wszystko na drugą rękę. Ja wymażę, ale On?..." I dopiero następowała cała nauka o pijaństwie, tak, że zrazu sądziłem, iż nieboszczyk był nałogowym i proboszcz w ten sposób wymierzał mu pośmiertną sprawiedliwość. Tymczasem pod koniec dowiedziałem się, że właśnie nieboszczyk był trzeźwy i zacny, tylko syn popadł w nałóg i ks. Stolarczyk użył tej sposobności, by odbyć ostatnią z nim próbę, by go przy zwłokach ojca skruszyć... Więc go wprost z imienia i nazwiska wymieniał, „hańbił", więc zwrócił się z argumentami *ad hominem* do grzesznika i tak mu ohydę i grozę grzechu przedstawiał, tak gromił, to znów roztkliwiał, że ogromne, jak dąb, chłopisko padło w końcu na kolana, nie szlochając już, lecz rycząc. A głośny płacz wszystkich zgromadzonych towarzyszył tej scenie.

Nazajutrz ów Walenty, czy Maciej, wyprzysiągł się w kościele uroczyście wódki.

Takim to kaznodzieją był ks. Stolarczyk, publiczne jednak „hańbienia" nie stanowiły wyłącznej jego broni i środka działania. Używał on najrozmaitszych, żył życiem swych owieczek, był ich ojcem, opiekunem, doradcą, nauczycielem i równie dobrze tępił zbójnictwo i pijaństwo, jak n. p. z Chałubińskim wprowadził w góry nieznaną dotychczas koniczynę, doradzał w interesach prawnych, sądził zatargi majątkowe i t. d., a wszystko to bez cienia sentymentalizmu, owszem, z pewną twardością, z wymaganiami natury nietylko duchownej ale czysto materjalnej, które — rzecz charakterystyczna — nietylko nie umniejszały, lecz dodawały mu powagi i szacunku, jakby na potwierdzenie maksymy Desjardina, że lud nie ceni tego, co mu przychodzi darmo lub bardzo tanio.

Gdy Zakopane, ze świecącej wielką nędzą osady, stawało się głośną stacją klimatyczną, gdy oświata i cywilizacja zaczęły wnosić już nietylko dobre, ale i złe, ks. Stolarczyk skarżył się nieraz na spustoszenia moralne, jakie mu goście, zwłaszcza warszawscy, wśród owieczek jego sprawiają. Skarga z każdym rokiem stawała się żywszą i coraz bardziej usprawiedliwioną, a wówczas, mimo radości, jaką mu sprawiał wzrost dobrobytu górali, czuć było w jego słowach tęsknotę za dawnem Zakopanem i obawę, czy ludzie nie zepsują tego, co Bóg naprawił i czy po dawnej nędzy nie przyjdzie nowa, straszniejsza. Wymykała się mu już z rąk ta dawna, patrjarchalna absolutna niemal władza, którą trzymał swych parafjan. Dobrowolnie jej nie wypuszczał, wielce o nią dbały, prawie zazdrosny, gotów był dać ją odczuć na każdym kroku i nietylko parafjanom stałym, ale i gościom. Umiał się jednak stosować do nowych warunków i wszystkie szlachetne, byle tylko praktyczne poczynania na polu zarówno oświaty, jak i ekonomicznem, miały w nim gorliwego współpracownika.

Dożył późnego wieku, lat 80 i przed kilku miesiącami sparaliżowany, zmarł dnia 5-go bm. nie doczekawszy się dokończenia budowy nowej, murowanej świątyni, którą rozpoczął przed kilkunastu laty wznosić.

(Z warszawskiego „Słowa") *A. Z.*

Jakim sposobem rzeczywisty radca stanu został oćwiczony rózgami

czyli

wewnętrzna gospodarka Taszkienców.

Z „Nowych bajek Szczedryna“ — przeł. tłumacz Kennana.

———

(Ciąg dalszy.)

Słuchałem go z zadowoleniem, gdyż *au fond il y a du vrai dans tout ceci!* Czasami w istocie przesadzamy i jakby silimy się dowieść światu, że znakomity dwuwiersz z wypisów szkolnych: »Nauka jest karmicielką młodzieży i t. d.«. ulatnia się z naszej pamięci natychmiast, skoro tylko opuścimy ławki szkolne.

Westchnąłem mimowolnie.

»On« mówił dalej:

— Przypuśćmy nawet, że nauka jest szkodliwą, ale i w takim razie szkodliwą być ona może chyba dla bardzo niewielu, większości zaś nie zagraża najmniejszem niebezpieczeństwem!... Panowie mówicie: społeczeństwo może być wtedy tylko szczęśliwe, gdy jest ciemne — prześlicznie! Cóż was jednak upoważnia do wniosku, że ta ciemnota jest tak łatwo dostępną zaborczym dążeniom wiedzy! A jeżeli w istocie społeczeństwo jest tak dalece pogrążone w ciemnocie, że upatruje w niej jedyną rękojmię swego spokoju, to jakże można przypisywać mu lekkomyślną żądzę nauki i to do tego stopnia potężną, żeby aż wymagała nadzwyczajnych środków zaradczych przeciw możliwemu porwaniu go swym prądem?

Zadowolenie moje wzrastało; »on« mówił dalej!

— Jedno z dwojga, albo społeczeństwo żądne jest wiedzy, a zatem może ją sobie przyswoić bez narażenia się na jakiekolwiekbądź niebezpieczeństwo, albo też nauka jest dla niego wstrętną, w którym to razie ono samo odeprze jej natarcie i bronić będzie praw, zabezpieczających je od wpływów nauki! Obawiać się o społeczeństwo, z tak ustalonemi przekonaniami, chwytać się sztucznych i nie zawsze lotnych środków dla odgraniczenia go — czyż to nie na jedno wychodzi, co go podburzać niepotrzebnie, a nawet pokazywać mu pewnego rodzaju błyski, których by ono nigdy nie dopatrzyło się, bez waszej mimowolnej usługi.

Zadowolenie moje wzrastało z każdą chwilą. Myślałem sobie: ach! gdyby wszyscy tak rozumowali! gdyby wszyscy byli tego zdania, aby zamiast prześladowania nauki, postępować sobie tak, jakby jej zgoła nie było... Nauka! Co to jest nauka? *Parlez-moi de ça! Qu'est-ce que c'est cette* »nauka«, *et où avez vous péché cet animal-là?*

Otóż podług mojego zdania — jedyna rozmowa, zasługująca w tym względzie na uznanie, jestto prawdziwie przezorna, wewnętrzna polityka. Lecz »on« mówił dalej.

— Jednakże przyjdzie do tego — chociaż ciężko to wypowiedzieć, że wszyscy zrozumieją, iż zupełnie bez nauki obejść się nie można i że narody, gardzące nauką...

Zatrzymał się nagle widocznie spostrzegł, że słuchałem »go« z zadowoleniem.

— Chodźmy! — rzekł nasuwając czapkę. Marsz!

* * *

Rzecz szczególna, że kobiety nigdy nie są tak nieugięte w złych przygodach, jak mężczyźni i albo uciekają się do płaczu, lub też przyjmują wszystko szyderstwem. Zwykle są one bardzo rezolutne i nawet energicznie bronią przekonań sztucznie nabytych; przeciwnie zaś miękną, jeśli rzecz dotyczy ich istotnych przekonań kobiecych i natychmiast nadają rozmowie inny obrót. Oto np., doprowadzić je można do ostateczności, gdy się mówi z niemi o własności, rodzinie jako podstawie państwowego i społecznego porządku; socjalizmie — jednem słowem o wszystkiem, co wprost albo też ubocznie ich nie dotyczy; a zagadajcie też co o »amorach«.

— Pani łaskawa jest nihilistką? zapytałem temi dniami pewnej nihilisteczki, zatopionej w Boklu czy też jakimś innym djabełku.

— A pan łaskawy jest nikczemnikiem? odrzekła widocznie w zamiarze ukłócia mnie tą nazwą.

Oto jeden z tysiąca przykładów kobiecej lekkomyślności! Ja zwracam się do niej ze słowem »Nihilistka«, a ona odpowiada mi »Nikczemnik!« i nie pojmuje, że w tem naiwnem wyrażeniu mieści się cały mój urok i że ona potwierdziła własnemi swemi, milutkiemi usteczkami, że „nihilista“ i „nikczemnik“, są to pojęcia jednoznaczne.

Wskazałem jej z całą gotowością ten naturalny wniosek, ona siliła się wyjaśnić mi swój frazes, lecz plątała się coraz bardziej w swych dowodzeniach.

— Nie, ja tego nie mówiłam! przeczyła zapalając się coraz silniej, »nihilista« jest nihilistą, a „nikczemnikiem“ jesteś pan.

Gniewała się tak serdecznie, że gotów byłem ją ucałować...

— Dlaczego ja nie jestem nihilistą? spytałem.

— Dlatego, że pan jesteś nikczemnikiem! nikczemnikiem! nikczemnikiem!...

Wybornie.

— A gdybyśmy tak pomówili coś o sprawach małżeńskich?

Przestała być panią siebie... W ogóle zauważyłem, że »one“ nie lubią mówić o tym przedmiocie i przestają być grzecznemi, gdy się o nim napomknie.

— Dobrze! powiedz-że mi pani przynajmniej, co się nazywa komunizmem.

— Komunizm, odezwała się śmiało: jest to taka forma społeczna, przy której żaden z członków społeczeństwa nie posiada oddzielnej własności, przy której wszyscy członkowie wkładają równą część pracy, niezbędnej do utworzenia kapitału i wszyscy mają równy udział w korzystaniu z zarobionych kapitałów...

— Wszyscy: i próżniacy i pracowici?

— Próżniaków nie ma w komunie! Próżniacy to wynalazek waszego, historycznego społeczeństwa.

— Wybornie! Ale co się tyczy małżeństw, czy nie zechcesz mi pani, czegoś o nich powiedzieć?

— Już powiedziałam, żeś pan nikczemnik!

Czyż to nie lekkomyślność? Wszystko są zdolne rzucić na kartę, gotowe są cierpieć, znosić wszelkie niewygody za jakieś tam idealne zasady, a jak tylko potrącisz o zasadę miłosną, choćby z najmniejszego piedestaliku, na który się podniosła, jak tylko nazwiesz tę zasadę po imieniu, zaraz dąsają się lub płaczą.

Marsz!

*
* *

Na ten raz, sprawa była jeszcze goretszą.

Siedziałem z pewną piękną nihilisteczką (o, jak im do twarzy z temi rozpuszczonemi włosami, w owych krótkich sukienkach, jak to wszystko wygląda ładnie) i pobrzękując pałaszem, dowodziłem jej, że zajmowanie się anatomją pod żadnym względem nie powinno wchodzić w zakres wychowania szlachetnych dziewic...

— Dlaczego? spytała dość obcesowo.

— A dlatego, odrzekłem, że anatomja może podniecać ich delikatne, skłonne do gorączkowania się, uczucia...

— Lepiej powiedz pan, że ona może podniecać uczucia tych, którzy o niczem innem nie myślą, jak o rzeczach sprośnych.

— Zaraz — sprośnych. A gdyby niebawem przyszło do „amroów«.

Wyznać muszę oczarowała mię swoim wdziękiem Rozdrażniony treścią prowadzonej rozmowy, miłym widokiem interlokutorki, króciótką spódniczką, z pod której wyglądała najpiękniejsza w świecie nóżka, zbyt może blisko przysiadłem się do niej.

Chciałem już dotknąć się jej kibici... a tu chlast!... Czyż i to nie było lekkomyślnością? Propagują swobodę miłości, a jak tylko przyjdzie do wywnętrzania uczuć... Chlast!

Marsz!

— Ach, jak ja się też wtedy spracowałem!

»One“ siedziały i sklejały pudełeczka. Nie wiem już dla czego, wydało mi się to podburzającem, lecz nie dość tego: uznałem za właściwe zrewidować je.

— Ach, jak ja się też wtedy spracowałem!

*
* *

Czytelnik zapyta może: kto nas upoważnił do takiego obcesowego postępowania? Jak mogły ścierpieć to władze wyższe?

Na to zapytanie jedną i jedyną odpowiedzią moją jest: niedźwiedź przebudził się... Póki niedźwiedź leżał w swem legowisku i ssał łapę, póty zwierzchności było dobrze. Kawałkiem mięsa można go wywabić z legowiska i zmusić do tańcowania, lecz uchowaj Boże, jeżeli on już zaryczał! Nie ma takiej siły, któraby go mogła uśmierzyć.

Sława o moich zwycięztwach wciąż rosła... Sam jeden działałem do upadłego, bez poparcia urzędowego; chyba tylko ze strony osób prywatnych. Było to nietylko już zdumiewającem, ale czemś nadprzyrodzonem!... Lecz taką jest potęga myśli zachowawczej! Ona zwykłego, słabego śmiertelnika o żelaznej duszy i kamiennem sercu, uzbraja szponami lwa... Mimowolnie zaczęło mi się kręcić w głowie. Zoczyłem się przedmiotem najuroczystszych owacji. W cześć moją wygłaszano pochwalne mowy we wszystkich traktjerniach carstwa, szampan płynął potokiem, przy życzeniach nowych i nowych zwycięztw; ze wszystkich stron sypały się telegramy z powinszowaniami... Zapalałem się, rwałem i byłem gotów... Kilka dni z rzędu hulałem, przepędzałem bezsennie noce i nic prawie nie jadłem. Oczy moje płonęły i zaokrągliły się zupełnie, nienawiść przytem wzmagała się coraz silniej, coraz gwałtowniej, aż w końcu ona jedna podtrzymywała moje siły... Lecz cement był mocny. Dochodziłem prawie do jasnowidzenia, i dopatrywałem się nihilistów tam nawet, gdzie inni widzieli rzeczywistych radców stanu! Z drugiej strony, ten stan napięcia uczuć, przeszkadzał mi zrozumieć, że w liczbie mnóstwa przeróżnych form, w których przejawia się nihilizm, są także takie, których dotknięcie się grozi niebezpieczeństwem... Szczególniejsze przeszkody w tem znaczeniu przedstawiają formy, zwane rzeczywistymi radcami stanu.

Owacje szły dalej; szampan lał się, katarynki grały w traktjerniach, mimo to na widownię zaczęła występować zdrada. Tu i owdzie przebąkiwano, *que je suis trop entier*, że zaczynają we mnie przejawiać się jakieś nadto śmiałe przekonania, że to także nie dobrze, gdyż człowiek, choćby był nawet najzawziętszym wrogiem nihilizmu, wstępując na grunt jakichkolwiekbądź przekonań, (nawet takich, jakie nazywają paszkwilowemi) psuje się stopniowo, psuje i wreszcie, sam o tem nie wiedząc, znajdzie się nagle na samem dnie nihilizmu...

Zaczęły mię trapić jakieś dziwne przeczucia. Podejrzywałem z niepokojem, że pogłoski te nie są daremne, że z jakiejś strony zagraża niebezpieczeństwo, zapowiadające koniec mojej działalności. Starałem się poprawić, stanąć po nad przekonania, lecz bezsenność i sztuczne środki, używane dla podtrzymania upadającego organizmu, ubezwładniały wszystkie zabiegi, czynione w tym kierunku. Ledwie wziąłem się do jakiej „roboty“,

gdy demon nienawiści opanowywał mię całego. Oczy nabiegają krwią, ręce podnoszą się niespokojnie, twarz wykrzywia się kurczowo.

(Dokończenie nastąpi).

Nie zdradzą oczy moje.

Ach! sercem mi oddani
Chcą nieraz patrząc w oczy,
Odgadnąć z nich, co rani —
Co tak mą duszę tłoczy...

* *
*

Daremnie, o! daremnie!
Nie zdradzą oczy moje,
Czemu swe gniazdo we mnie
Uwiły niepokoje.

* *
*

Na niebie świecą słońca,
Przy mnie się miłość pali,
Co zdrowie niesie bytom:

* *
*

Daremnie! aż do końca
Pójdę i zginę w dali
Sam — z troską mą ukrytą

Jan Kasprowicz.

GAŁĄZKA SPIREI.

NOWELA

przez **Marję Jarmund.**

Dalszy ciąg.

Widok ten musiał w nim obudzić przykre jakieś wspomnienie, gdyż rękę, trzymającą kwiatek, spuścił pospiesznie, z westchnieniem szedł coraz dalej, zagłębiając się w odległe i najbardziej cieniste ulice ogrodu. Ruch był tu o wiele mniejszy, a gwar dolatywał cichym tylko szmerem. W niewielkiem zagłębieniu, tworzącem jakby rodzaj altanki naprzeciw zacienionej gęsto uliczki, stała samotna ławeczka. Strudzony nasz wędrowiec z uczuciem niewysłowionej ulgi zajął na niej miejsce. Wsparł głowę na ręce i pogrążył się w nawpół sennych marzeniach. Przeszłość nigdy tak jasno i tak natarczywie nie stawała w jego wyobraźni, jak obecnie.

Cóż w nim wzbudziło dziś dawno zapomniane pragnienia i nadzieje? Czy ta wiosna budząca całą przyrodę do nowego życia? Czy ten gwar i ruch wielkiego miasta, wśród którego czuł się bardziej osamotnionym i zapomnianym, niż w swojej pustelni?. Jedno słowo, wymówione przypadkiem, dziwne czasem wrażenie wywołuje w sercu człowieka.

Znękany, cierpiący, znużony życiem, przyjechał do miasta po wielu latach spędzonych w samotności, ażeby się poradzić znajomego lekarza, niegdyś swego kolegi, z którym odmienne koleje losu, od ławki szkolnej do dziś dnia spotkać mu się nie pozwoliły.

— Nerwowa — nerwowa choroba, która dziś trapi ludzkość całą, — zawyrokował lekarz po dokładnem zbadaniu pacjenta. Dotychczas nie ma jeszcze nic groźnego, ale może być źle, jeśli sam nie dołożysz starań na pokonanie zbliżającego się wroga. Mały wysiłek woli, tej woli, która słabnąć i opuszczać cię zaczyna, a wszystko będzie dobrze. Nie poddawaj się zniechęceniu... trochę rozrywki, a zwłaszcza obowiązkowe i z oddaniem wykonywane zajęcie, zbawiennyby wpływ wywarło... Szkoda mój Ludwiku, żeś mi nie przywiózł swej żony, byłbym ją dokładnie obznajomił jak postępować należy. Kobiety znakomicie chorych pielęgnować umieją.

— Żony? — powtórzył Ludwik z uśmiechem, to byłoby trudno, bo jej nie mam wcale...

— Doprawdy?... to źle — mruknął doktór — Chory sam siebie pielęgnować nie może... No, ale masz przecież siostrę, siostrzenicę, albo kuzynkę jakąś, słowem kogoś, kogoby zdrowie twoje obchodziło.

— Nie mam zupełnie nikogo — odrzekł Ludwik z lekkim odcieniem smutku w głosie.

— Nikogo, mój biedny Ludwiku — powtórzył eskulap, spoglądając na przyjaciela wzrokiem, w którym się malowało niekłamane współczucie połączone ze zdziwieniem — i powiadasz, że od lat dziesięciu, nie opuściłeś ani na chwilę swojej pustelni. To już prawdziwa mizantropja. Cóż tu się dziwić żeś chory? Ja sam byłbym już umarł dawno, gdyby mnie tak zamknięto... szczególne upodobania miewają ludzie...

Ruszył ramionami, przechadzając się powoli po pokoju. Nagle zatrzymał się i kładąc rękę na ramieniu kolegi, wymówił:

— Wiesz co, dam ci dobrą radę... Pójdź za moim przykładem i ożeń się...

— Wiesz co, dam ci dobrą radę — zawołał Ludwik rozweselony nagle, parodjując słowa swego przyjaciela. — Rozminąłeś się z swojem powołaniem. Załóż kantor stręczenia małżeństw.

— Może myślisz, że żartuję — zapytał z uśmiechem nieobrażony lekarz — to się mylisz. Ja sam ożeniłem się niedawno i wcale tego nie żałuję. A przecież starszy jestem trochę od ciebie. Posłuchaj więc dobrej rady i zastanów się nad tem.

Ludwik posłuchał też dobrej rady i w tej chwili zastanawiał się nad tem z pewnem upodobaniem. Dlaczego to, co teraz wydawało mu się łatwem i prostem, dotychczas uważał za niepodobne do wykonania? Czy jedno słowo starszego przyjaciela, mogło być dostatecznem, ażeby tę dziwną odmianę wywołać? Na to pytanie nie umiał znaleść żadnej odpowiedzi.

Wspomnienia tymczasem zaczęły go tłumnie nawiedzać, wywołując przed oczyma duszy, odległy, nawpół zapomniany obraz. Cały dziesiątek lat upłynął już prawie od czasu, kiedy pełen go-

tyczy, złamany na duchu i zniechęcony do życia, wrócił po długiej tułaczce pod rodzinną strzechę. Młodość swoją całą i wszystkie nadzieje poświęcił dla dobra współbraci. Niczem były dla niego długie lata cierpień, przepędzone wśród ciemnych murów, niczem straty majątkowe, bolesna tułaczka, zrzeczenie się radości i szczęścia ziemskiego, wszystko z rozkoszą oddał na ofiarę. I cóż otrzymał w zamian od tych, dla których się poświęcał? Potwarz, nienawiść, intrygi, złą wolę i prześladowanie. To mu odebrało całą do dalszej pracy odwagę. On, który tyle cierpień mężnie zniósł, zachwiał się pod tym ostatnim ciosem. Porzucił więc świat, wśród którego żył i rozpoczęte prace, chroniąc się do starego ojców domu, gdzie jak w pustelni, zdala od znienawidzonych ludzi żyć i o ile siły starczą dla przyszłości pracować postanowił.

Powrócił do domu pustego, gdzie nikt na niego nie oczekiwał. Nikt zupełnie. Mogiły nawet najbliższych rozprószone były po świecie. Ojciec już dawno śmiercią walecznych poległ gdzieś daleko na polu chwały, a matka z tęsknoty pod obcem, cieplejszem niebem życie zakończyła. Miał wprawdzie siostrę, którą tu dzieckiem zostawił. I tej jednak nie było. Żyła szczęśliwa za morzami, nie myśląc wcale do niego powracać. Stary sługa tylko, uwiadomiony o jego powrocie, czuwał późno w nocy, aby przyjąć pana. On jeden powitał go łzami radości na rodzinnym progu. On... który przez te wszystkie lata czuwał nad mieniem swego pana i pamiętał o jego upodobaniach. Dom zastał utrzymany w porządku wzorowym, a ogród?...

Pierwsze spojrzenie strudzony podróżny poświęcił temu pełnemu uroku, ulubionemu niegdyś ustroniu, w którem tyle swobodnych chwil w dzieciństwie przepędził... O!... ogród oświecony blademi promieniami księżyca, jaśniał całym wdziękiem budzącej się do nowego życia przyrody. Wydał mu się on podobnym do jednego wielkiego bukietu i o wiele piękniejszy, niż go przed laty zostawił. Dusząca woń bzów i jaśminów, przepełniała majowe powietrze.

— Nikomu nie wolno zrywać kwiatów — powiedział stary sługa, chcąc się pochwalić starannie utrzymywanym porządkiem — tak jak to dawniej bywało.

Nazajutrz rano nowo przybyły znów najpierw kroki swe zwrócił do tego ogrodu, w którym „kwiatów nikomu zrywać nie było wolno“. Jakże tu było pięknie! Dawno już nie doznał takiego uczucia uspokojenia i szczęścia. Tu już złość i zawiść ludzka go nie dosięgnie. Całemi piersiami zaczerpnął świeżego powietrza, które go wraz z poranną rosą falami woni upajającej ogartywało.

Nagle zatrzymał się zdziwiony. Z wysokiego tarasu, na którym się w tej chwili znajdował, znaczną część ogrodu jednym rzutem oka z łatwością przejrzeć było można. Nieopodal domu, przy jednym z kląbów, w którego zagłębieniu znajdowała się ukryta ławeczka, stała młoda dziewczyna w czarnej sukience. Kląb składał się z samych bzów i krzaków spirei, obsypanych białem kwieciem. Wiotkie, białe gałązki, spadające w długich girlandach, wieńczyły w około postać dziewczęcia, tworząc na ciemnej sukni żałobne festony. Cała uwaga młodej dziewczyny zaprzątniętą była temi kwiatami. Każdy z nich brała po kolei do ręki, przypatrując mu się uważnie i troskliwie, gładziła delikatnie ręką, lub lekko i ostrożnie otrzepywała palcami. Nareszcie jedna gałązka pozostała dłużej w jej ręku niż inne. Po kilka razy puszczała ją wolno, to znów brała do ręki, jakby niepewna, co ma z nią zrobić. W końcu z nagłem postanowieniem, zerwała kwiatek, odmuchała starannie gałązkę z okrywających ją drobniutkich robaczków, i podniosła ręce w zamiarze wpięcia jej we włosy.

W tej chwili jednak wzrok jej padł przypadkiem na nieznajomego, który z brwiami zmarszczonemi i gniewnem spojrzeniem zbliżał się ku niej powoli. Podniesione ręce opadły bezwładnie, kwiatek z nich wypadł na ziemię, a blada twarzyczka okryła się gorącym rumieńcem. Stała jakby przykuta do miejsca, niepewna co począć, Pozostać i stawić czoło niebezpieczeństwu, czy też uchodzić pospiesznie.

Tak była zmieszaną, że właściciel, przed chwilą mocno rozgniewany, iż mu w tym ogrodzie, w którym „nikomu kwiatów zrywać nie wolno“, jakaś obca zamąca natrętnie upragnioną spokojność, uczuł się nagle rozbrojonym. Zatrzymał się chwilę, patrząc ciekawie na nieznajomą, której obecność tu, poczytywał za niewyjaśnione zjawisko. Niepiękna, ubrana skromnie, prawie ubogo, nie odznaczała się niczem, coby zwrócić na nią mogło uwagę, a jednak posiadała dziwny jakiś, nieokreślony wdzięk, który w nim żywą sympatję obudził.

— Czy jestem tak przestraszającym? — zapytał schylając się i podnosząc z ziemi opuszczony kwiatek.

Na to pytanie, młoda dziewczyna trochę uspokojona, uśmiechnęła się lekko, podnosząc na niego ciemne, pełne wyrazu oczy. Uśmiech ten rozjaśnił nagle drobną jej twarzyczkę, na której malował się niewymownie głęboki smutek.

C. d. n.

Z ruchu literackiego.

Ostoja (Józefa Sawicka); Nowele; „Świetny los“, „Królewna“, „Nr. 3.“, „Pod urokiem“. Warszawa 1893.

Stanowisko, jakie zajęła Ostoja w literaturze, zwalnia sprawozdawcę od ogólnej charakterystyki jej talentu, obowiązując tylko do przedstawienia czytelnikom najmłodszego jej dziecięcia

Złożyły się na nie obok znanej bystrości autorki — bardziej może refleksyjnej niż analitycznej, umiejącej podpatrzeć nietyle drobiazgi życia zewnętrznego, ile wnikającej w fałdzistą głąb duszy ludzkiej — smutny, rezygnacji pełen, ale wielce bezstronny pogląd na świat. Nie puszczając się na spienione fale zagadnień społecznych, rozwija przed nami Ostoja psychologję życia osobników. Akcję możliwie prostą i naturalną wstrzymuje refleksja, przytłumiając nieraz żar płomiennych wzuszeń, aby na wodzy utrzymać fantazję, która najszczytniejsze święci tryumfy w wiernej charakterystyce osób. Pomimo widocznego pociągu autorki do charakterów, chorujących na brak woli, bardziej niż wpływami dziedziczności i otoczenia, ślepym trafem gnanych to w tę, to w ową stronę, potrafi ona w tej atmosferze utrzymać się na granicy artystycznej przedmiotowości, umie tak umiejętnie rozłożyć światła i cienie, żeby z ofiarą nawet samej plastyki nie uchybić prawdzie. Kilka przykładów zaczerpniętych z niwy szlacheckiej, która w przeważnej mierze służy za tło dla naszych obrazów, posłuży do potwierdzenia powyższych luźnie rzuconych uwag.

Galerję postaci męzkich otwiera do najdrobniejszych szczegółów wykończona postać dyrektora banku ziemskiego, zimnego, a wyrachowanego biurokraty, którego credo bankowe streszcza się w następujących słowch: »Gdybym cały kraj złupił na korzyść kilkunastu moich wiernych przyjaciół, każdy z nich, dzieląc się ze mną czystym zyskiem, przyznałby chętnie, że jestem skończonym łotrem; moja zbyteczna gorliwość może w nich wzbudzić nienasycony apetyt — zjedzą mnie w końcu, gdy im mniejsze dawki rzucać zacznę; należy trzymać na wodzy zarówno ich fałszywy apetyt, jak i warcholskie wścibstwo do interesów, których nie rozumieją. Dla nich można jeszcze coś zrobić czasami, ale z nimi stanowczo nigdy nic!“

Miał przez lat dwadzieścia nieograniczoną władzę w banku, opozycja istniała jakby dlatego tylko, by mu dostarczać sposobności do świetniejszych zwycięztw. Uwieńczyła je Mogilnica, tłusta wioska, na którą pracował całe życie i dla której zaszargał się po uszy w opinji publicznej. Zwaliło go z nóg widmo ciężkiej choroby wśród pracy biurowej. Kiedy po mozolnie wykończonych rachunkach, z natężoną uwagą miał już podsumować szereg cyfr, zlewających się w jakąś ruchomą masę na stronicach białego papieru — głuchy ból pod piersiami chwytał go znienacka, żar rozlewał się w żyłach, skupione myśli pierzchały, a wraz z niemi rozsypywała się suma cyfr wyrzeźbiona w pamięci. Całe życie dążył z żelazną wytrwałością do celu i dopiero kiedy w skutek swej słabości zszedł w stan spoczynku, zaczęło się w nim poruszać uczucie. Zaroiło się wtedy w jego ciemnej duszy, jak w gnieździe żmij, zbudzonych ze snu zimowego ciepłym promieniem słońca... Małżonka jego, baba z piekła rodem, wyglądała jak wachmistrz na prędce przebrany za damę. Ona możeby rozumiała, jak trzeba karmić ludzi krwią z pod własnego serca utoczoną, żeby samej głodu miłości nie doznać, lecz przez całe życie głód ten pożerał jej duszę, a drapieżna zazdrość szarpała jej wnętrzności, aż przemieniły ją w końcu w rozjątrzoną tygrysicę, w jędzę.

Każda szczęśliwa, kochana kobieta była jej osobistym wrogiem, gdyby ich na świecie nie było, ona czułaby tylko brak warunków do życia, jak ten nędzarz, który na świat przyszedł gdzieś w podziemiach i umarł nie ujrzawszy słońca. Natura, wysiliwszy się na stanowcze charaktery ojca i matki, synowi dała już tylko spokój, graniczący z apatją. Obojętny na zbytek i komfort, wśród których kości mu rozmiękły, na te drobiazgi życiowe, w których roztapia się dusza filistra, nie miał skrzydeł do lotu w niedoścignioną krainę ideału, ani nawet sił rzucić się między ludzi, żeby go wir pracy porwał. Ojciec, mający straszny garb, z którym trudno bujać w obłokach, a który nazywa się znajomością ludzi — powiadał o swoim jedynaku, że dlatego tylko mówił o wielkich rzeczach, żeby nie robić małych. On sam nawet oswoił się już i pogodził ze swem niedołęztwem. Cisza, ta głucha cisza, w której nie słychać nawet uderzenia kochającego serca, była dla niego najwłaściwszem otoczeniem. Mimo to, zakochał się, ożenił a wesoły promień szczęścia ogrzał go na chwilę. Powoli jednak blask zaczynał nużyć oczy, a olśniony nim, zaczął wpatrywać się nadal we własną, szarą duszę. I z nauką nie poszło lepiej. Badał mchy i grzyby, o których zebrał notatki jeszcze na ławie uniwersyteckiej; rozebrał je, pogatunkował i włożył pod przycisk, drwiąc jednak w duszy z tych skromniutkich zapasów. Między zbieraczem a dojrzałym sceptykiem utworzyła się przepaść, w której utonął zapał, pociągając za sobą wiarę i wolę. Snuł nawet jakieś plany społeczne, sięgając myślą w daleką przyszłość. A gdy z tej olbrzymiej chmury, brzemiennej piorunami projektów, spadł drobniutki deszczyk w postaci jakiegoś komitetu, ratującego byt kilku, albo kilkudziesięciu osób, ochłonął w swym zapale, wytrzeźwiał, ze snu gorączkowego przebudził się znowu obojętny, milczący, bezczynny. Nie ocknęła go z tego snu letargicznege Mogilnica, przynosząca w dobie lata z dziesięć tysięcy dochodu. Zmiarkował bowiem wcześnie, że chcąc żyć w tym raju, trzeba albo robotników krzywdzić, w każdym razie przelewać z pustego w próżne, połowa bowiem dochodu szła na długi, a drugą trzeba w ziemię wkładać, żeby znów na rok przyszły mieć z dziesięć tysięcy. Dopiero śmierć ojca i doznane od matki poniżenie obudziły w nim uśpioną ambicję i dumę drzemiącą. Odzyskał „naraz“ energję, odżył, odmłodniał — ale czy na długo?

Nawet w kochającej go żonie było więcej nadziei, niż wiary i ufności w tę jego nagłą zmianę.

„Królewna“ wyrosła wśród grzybów spleśniałych na pniu szlacheckim. Atmosferę tego życia malują dobitnie słowa bohaterki: „Ha, cóż może być nowego u nas! Dogorywamy! Drogi do nas trawą zarosły — żyjemy, jak w grobie: siostry powysychały na mumje, Staś mówić zapomniał, matka żyje wspomnieniami przeszłości, długi tylko wiążą nas ze światem. Kłopotliwy to węzeł, co prawda, ale przypomina o nas wierzycielom“... Powiadają, że sowa nie zrodzi sokoła, w tej pruchniejącej jednak atmosferze wystrzelił kwiat romantycznej piękności. Cicha była i milcząca; za młodu łowiła rybki w jeziorze, a po kąpieli wygrzewała się na kamieniu, obrócona plecami do słońca, w wolnych od bezczynności chwilach karmiła kocięta. Wyrosła tak na królewnę! Poznał ją lekarz, człowiek trzeźwy, który naturę swą trzymał w garści i życiem tak kierował, że prawie był pewny, iż nie umrze bez pory. Wśród nawału spraw i kłopotów, zobojętniałemu na wszelkie »głupstwa«, potknęła się tu noga.

W martwej duszy wylęgło się uczucie, które przypomniało wonią najmilsze kwiaty wiosenne. Szał głupi w taki wir po popchnął, że czuł słabnące siły, resztkę woli już tylko jakby zębami trzymał. Na usprawiedliwienie przytaczał wyjątkowe okoliczności: głusz dziką, przepełnioną odurzająco świeżem powietrzem, w którem unosiły się zarodki złego i dobrego, akurat jak w raju — a wśród tej wonnej cienistej głuszy prześliczne dziewczę, którego dotąd żadne grzeszne nie tknęło spojrzenie. Z drugiej strony, trzy nudne baby, od których nawet muchy uciekały, i t. p. Los ich rozłączył. On, który z króla stał się wołem roboczym, czytającym nudne frazesy z biblji rozsądku i dobrych obyczajów, ożenił się z najzwyklejszą kobieciną — każdy ma taką żonę — na jaką zasługuje. Ona wyszła za... Grabca. Jeżeli go chcecie poznać bliżej, przypatrzcie się rodzicom, których był nieodrodnym synem. Ojciec, to całą gębą gospodarz, miał ośm włók tłustej ziemi i folwark zabudowany jak dwór pański, kawał zaś lasu wykarczował własnemi pazurami. W pasji drągiem przez plecy ściągnął żyda, który jak był przy jego nogach, tak i nie wstał. Przeleżał za to trzy miesiące w więzieniu, wyspał się za wszystkie czasy, aż w końcu Matka Boska Ostrobramska cudownie wybawiła go z tej biedy. Miał coś z tej ziemi, do której go ciągnęło. Pachnęła mu, czuł jej smak w ustach — pożerał oczyma. Ujadał się z sąsiadami o lada miedzę, ryczał na całe gardło, gdy mu sąsiad garść trawy kosą zagarnął. Wziął dziewczynę bez grosza. Pół roku jeździł po zagrodach szlachekich, zważając bacznie, gdzie więcej garnków od mleka suszyło się na płocie, gdzie świnie tłuściejsze. No i wybrał dziewczynę, która mórg gęstej jak mur pszenicy zżynała w jeden dzień, śpiewając, a gdy po ślubie wiózł ją do chaty, koła wozu skrzypiały pod silną rozłożystą żonką. »Ty sama chyba te jajka znosisz — mawiał nieraz rozczulony — dalibóg, Nastusiu, takiej żonki jak ty, jabym na sto krôw mlecznych nie wymienił!«

Żył z nią trzydzieści lat i przez ten czas nosił ubranie jej ręką utkane, jadł chleb jej ręką pieczony, a jeżeli zdarzyło się, że miał sińce na plecach, to też tylko od jej ręki. Mieli trzech synów. Najstarszy, kutwa, po dzierżawach chodził, włócząc się po jarmarkach, prześmiardł tak żydem, że go już ojciec do chaty wpuścić nie chciał i rozmawiając palił machorkę, żeby tego niechrześcjańkiego smrodu nie wąchać. Drugi był księdzem. Pan Bóg może tam miał z niego pociechę, ale ojciec żadnej. Pisywał do niego listy takim „wykręconym“ charakterem, że ich nikt przeczytać nie potrafił. Ojciec chował je w spodniach i nie czytając ich, uspokajał się swym chłopskim rozumem: „Żeby umarł, toby nie pisał, mówił do siebie, a dokąd ksiądz żyje, to mu kościół buty szyje“.

Trzeci syn, prawa ręka ojca, był — mężem królewny. W gospodarskiej atmosferze, zatęchłej grubjaństwem, a gęsto zroszonej potem, usechł kwiat egzotyczny, bo chociaż królewna jak skazana, dawno pogodziła się z wyrokiem, duszy jednak w karbach rezygnacji utrzymać nie mogła. Z rozpaczy rzuciła się w cichą toń jeziora i jak błędny ognik przepadła...

Pozwólcie na zakończenie kilka drobniejszych uwag, dotyczących nie już osnowy, ale samej struktury nowel. W kompozycjach obrazów Ostoi daje się odczuwać brak perspektywy. Układ szczegółów nie zawsze jest artystycznie umotywowany.

»Nr. 3« np. wygląda na zawiązek powieści w samem pączkowaniu zmrożonej. »Pod urokiem« zaczyna się pamiętnikiem chorego, o czem zapomniano pod koniec. Dla uwydatnienia najważniejszych momentów opowiadania, posługuje się autorka czasem metodą impresjonistów, ale czy to np. nie za dużo powtarzać około dwudziestu razy, że bohater ma żółtą cerę i jest chory, jak to ma miejsce w pierwszej nowelce?..

Błahe to zarzuty wobec niepospolitych zalet Ostoi, ale pod zaklętym wpływem jej pióra, w jakie pogrąża swych czytelników, trudno było i podpisanemu zdobyć się na lepszą krytykę.

Dr. H. Biegeleisen.